

**ANDRZEJ SOSNOWSKI**

**Śmierć człowieka nieuformowanego**

Jest twoja: po prostu uśmiechnij się

do potrzeby uproszczeń, zatrzymaj ciało

poruszając duszę, bo ten zawrót głowy

jest inny niż kiedyś: nie ciężkie sny zimy

jak loty narciarskie na mamuciej skoczni

ani impet wiosny: raca, szarfa tancerki

strzelająca w mrok, po której sunąłeś

niby po zjeżdżalni wprost w baseny lata.

Jak długo można wędrować po linie?

Boksujesz się z cieniem i po silnym ciosie

lecisz koziołkując w przestrzeń międzygwiezdną —

szept świata za tobą jak zdyszana lawina.

I odpadasz od spraw, co poczniesz bez spraw

sam jak palec na lodzie? Nasza mowa brzmiała

„tak, tak” w dobrych chwilach, a gdy było gorzej

„cokolwiek, gdziekolwiek”. I jest coraz gorzej:

przesiadujesz w kurzu przy podmiejskim murze,

podrzucając kamyki jak zbędny zalotnik,

patrzysz w czyste niebo, wspominając chmury,

nawałnice dawnych spraw i gromkich sensów.

A nocą twoje światło ściąga świat i nic —

tylko pukanie ćmy w szybę i świerszcz

jakby ktoś stąpał w butach z klamerkami.

Chciałbym paść ofiarą dowolnej intrygi.